

# Ludmiła Jabłońska

Córka Pierwszego Redaktora Naczelnego Dziennika

W wydaniu z 28-29 stycznia br. zapowiedziałem reportaż ze spotkania z panią Ludmiłą Jabłońską-Cummings, córką pierwszego redaktora naczelnego "Dziennika Związkowego," liczącą 91 wiosen (zimy się nie liczą). W zapowiedzi informowałem, jak doszło do spotkania z Panią Ludmiłą. Powtarzam notatkę dla tych, którzy jej nie czytali.

## Pani Ludmiła Odnalazła Dziennik

Z wysokości (1-go piętra, po tutejszemu 2-go flooru) zastąpił do suterynu, gdzie mieści się Redakcja, zarządcą Wydawnictw Związkowych dr Edward Różański. Tajemnicza mina i charakterystyczny uśmiech były nieomylnym znakiem, że przynosi coś interesującego. Podniosłem głowę nad tekstem nad którym się męczyłem, by go doprowadzić do strawnego stanu i miałem zapytać, kto mnie

mieszkają "zwawsze" panie, parter jest zarezerwowany dla pań, które mogą poruszać się tylko na wózku lub z pomocą laski. Po sprawdzeniu, czy Pani Ludmiła jest "gotowa" przyjąć gości, Siostra prosi nas do pokoju. Weszliśmy do niewielkiego, nowoczesnie urządzonego pokoju z telewizorem na przeciw łóżka. Wita nas kobieta średniego wzrostu. Uśmiechniętą twarz o regularnych rysach, okalając srebrno-białe włosy. Śmieje się radośnie, biorąc nas po kolei w ramiona. Cieszy się, że wreszcie na pustkowi (ale miły, dodaje) będzie wreszcie mogła z kimś porozmawiać o oju.

Po wstępnej pogawędce, mówię o celu naszej wycieczki do Lemont. Chciałbym przeprowadzić z nią wywiad o oju i początkach Dziennika. "Wywiad" — to wielkie słowo,

ale gdy ojciec kończył lekcję, kruk zjawiał się by wrócić z nim do domu.

Pani Ludmiła urodziła się w Chicago, ale razem z rodzicami i resztą rodzeństwa (żyje jeszcze młodszą, 35-letnią siostrą, która mieszka w Michigan) wędrowała jak cygan z miejsca na miejsce, ponieważ ojciec szukał lepszego zajęcia, by zapewnić rodzinie znośne warunki życia, ale pracować także dla Polski.

Punktem oparcia było Buffalo, N.Y. gdzie ojciec zaprzyjaźnił się z Antonim Schreiberem, właścicielem browaru i ruchliwym działaczem związkowym. W różnych okresach ojciec był jego księgowym i doradcą.

Gdy na sejmie ZNP w 1893 r. ojciec został wybrany redaktorem "Zgody" z pensją \$1,000 rocznie, rodzina przeniosła się do Chicago. W 1894 r. ojciec został wybrany prezesem ZNP, ponownie w 1898 r. W 1901 r. zrezygnował z prezesury, ponieważ ze skromnej pensji trudno było utrzymywać rodzinę. Zaczęła się znowu wędrowka z Chicago do Milwaukee (gdzie był redaktorem "Kuriera Polskiego"), potem do Buffalo i znowu do Chicago, gdy sejm ZNP w Baltimore, Md. w 1907 r. postanowił wydawać "Dziennik" podkreślając, że nie ma on być organem ZNP, lecz pismem informującym o wydarzeniach i szermierzem wolności Polski. Jabłoński został znowu wybrany redaktorem "Zgody" ze zrozumieniem, że obejmie redakcję "Dziennika." Schreiber od 1905 r. był cenzorem ZNP.

W Chicago ojciec uczył wieczorami języka angielskiego w "starej" Wells H.S., przy ul. Ashland. Ich dom był zawsze otwarty dla potrzebujących, mówi Pani Ludmiła. Ojciec wypełniał różne formularze przybywającym ze "starego kraju" nie znającym angielskiego, tłumaczył dokumenty i pisma urzędowe, pisał im listy do władz. Wszystko za "Bóg zapłać!" (Przekonujemy się, że tradycje nie giną).

Matka musiała wszystko robić w domu. Ojciec miał "aksamitne" ręce, nie umiał niczego zrobić. Matka, której na imię było Emma (z domu Różańska) była wspaniałą kobietą. Jej ojciec był kucharzem (w Europie).

Ojciec był bardzo stanowczy. Przy stole trzeba było mówić po polsku. "Uważam, że tak być powinno," mówi Pani Ludmiła. Wówczas mówiliam dobrze po polsku, teraz mówię gorzej, ponieważ nie przebywam w polskim środowisku. Pamiętam, snuje wspomnienia Pani Ludmiła, jak kiedyś po powrocie z wycieczki szkolnej do lasu musiałam przy stole opowiadać wrażenia. Opowiadałam jak umiałam, ale

mówi p. Ludmiła. Będę opowiadała o ludziach i wydarzeniach, o których nie pismo dotąd w prasie i historii ZNP i w miarę możliwości odpowiadała na pytania, a Pan wybierze z tej pogawędki, co uzna za interesujące. Od ukazania się pierwszego numeru Dziennika upłynęło już 75 lat. ... Pamięć zawodzi.

Chętnie zgodziliśmy się na propozycję Pani Ludmiły. Pogawędka odpowiadała nam bardziej niż wywiad, mający charakter formalny, nieomal "urzędowy."

Zacznę od sprostowania, powiedziała Pani Ludmiła. Prasa pisała, że ojciec umarł na atak serca. Nie prawda, przyczyną śmierci było zapalenie woreczka robaczkowego (ślepej kiszki). Ojciec był zbyt zajęty, by myśleć o sobie. Przyjaźnił się z dr Kazimierzem Żurawskim, ale nie chciał marnować czasu, by pójść do kliniki na badanie. Operacje ślepej kiszki były wtedy rzadkością i nie wszyscy



Od lewej: Leokadia Różańska, Pani Ludmiła, red. Krawiec.

lekarze byli w stanie rozpoznać chorobę. Ojciec brał środki na ból żołądka i pracował dalej. Nie umarł przy biurku w redakcji lecz w domu.

Był on gorącym patriotą i dobrym ojcem. Dzieci (a było nas sześć) trzymał "krótko" i wszystkie musiały mówić po polsku. Nie przelewał mi się, ale z każdej podróży przywoził dzieciom lakoce. Nawet, gdy nie wyjeżdżał, lecz w Chicago zebrania, konferencje lub praca w redakcji przyciągnęła się do późna w nocy, wracał z lakoconami. Zdarzało się, że stęskniony za dziećmi z którymi mało czasu spędzał (noc go wypędzała i noc przepędzała) budził je, sadzał kolejno na kolanach, częstował cukierkami i gawędził o szkole, radził i napominał.

## Gorący Patriotą

Ojciec pochodził z Inowrocławia. Tam ukończył gimnazjum, studia wyższe w Louvain (Belgia). Po przybyciu do Ameryki uczył w szkole Pana Maria (Teksas), najstarszym polskim osiedlu w Nowym Świecie. Do szkoły jeździł konno. Miał oswojonego kruk, który nocował gdzieś w pobliżu domu, ale rano czekał na ojca na pobliskim drzewie. Gdy ojciec dosiadał konia, kruk zlatywał na jego ramię i jechał z nim do szkoły. Gdy ojciec zsiadał z konia, kruk leciał do "swo-

czasem brakowało mi słów, spolszczałam więc angielskie. Gdy skończyłam ojciec parsknął śmiechem.

Ojciec był smakoszem, szczególnie przepadał za serem szwajcarskim i chruscikami. Był także dobrym mówcą. Przemawiał na różnych uroczystościach, m. in. na poświęceniu pomnika Tadeusza Kościuszki w parku Humboldta. Wielkim wydarzeniem było przyjęcie licznej delegacji ZNP po sejmie w Baltimore przez prezydenta Teodora Roosevelta. Ojciec z dumą opowiadał o tej pierwszej w dziejach Polonii wizycie działaczy związkowych w Białym Domu.

Wśród przyjaciół ojca — jednym z najbliższych był pierwszy proboszcz parafii św. Trójcy ks. Sztuczko. Śmierć ojca odbiła się głośnym echem w Chicago. Pogrzeb był wyrazem uczuć Polonii i holdem złożonym przez Polaków w Ameryce człowiekowi, który życie poświęcił Polsce i pomocy rodakom. Dom Związkowy był przybrany kirem. Kościół św. Trójcy nie mógł pomieścić tłumów, które przybyły, by pożegnać b. prezesa i pierwszego redaktora "Dziennika Związkowego."

## Ciekła Młodość

Nie Odebrała Jej Pogody  
Proszę, by powiedziała coś o sobie,

Tadeusz Nowakowski

# Przed Wizytą Ojca Św. w Polsce

Plac św. Piotra. Maj. Nieskazitelny lazur nad Kopułą. Tysiące pielgrzymów, przybyłych z całego świata. Wpatrują się w otwarte okno, w którym pokaże się za chwilę biała sylwetka.

W to okno wpatrują się również Polacy z kraju — mówi przybywszy z Gdańska.

Trzynastego maja, w drugą rocznicę zamachu na życie Papieża, gazety rzymskie, zaniepokojone wiadomościami o nowych szyskanach junty przeciwko "Solidarności" i patriotycznemu duchowieństwu, zapytują: "Pojeździe czy nie pojedzie?"

Wszelako z pielgrzymki do Polski, "kraju w którym nie chciałbym nosić kulochronnej kamizelki" (jak się wyraził) Pątnik do stapania po cierniach przyzwyczajony zrezygnować nie zamierza. Przeszkody służą do ich przewycięzania — to jakby drugie zawałanie jego pontyfikatu. Nie chcąc zawiązać oczekiwani milionów rodaków, tęskniących do podniesienia na duchu, papież o odwołaniu misji apostołkiej nie myśli, chociaż jego "non possumus" miałyby swoje uzasadnienie.

Pocieszyciel spragnionych uważa za swój pasterski obowiązek właśnie w chwilach trudnych być razem ze swoimi ("wielmożni odwiedzać"), fizyczną obecnością przyświadczyć ethosowi wierności i solidarności ("zstał między druty"), przeciwdziałać słowem i modlitwą poczuciu opuszczenia przez wszystkich, także i przez przyjaciół, i pokłeskowym nerwicom i zapadom zbiorowych aspiracji, nawet gdyby go miały spotkać, co wręcz nieyobrażalne, równie bolesne niespodzianki jak te, których nie poskąpili mu dyktatorzy w Gwatemali i Nikaragu. Gdyby chciał podchodzić do zniewag i afrontów w sposób prestiżowy, jak to nieraz czynili papież w historii, myśl o ponownych odwiedzinach odczytany zarzućby już przed rokiem, kiedy władze nie wyraziły zgody na jego udział w jubileuszowych uroczystościach na Jasnej Górze. Ojca chrzestnego odnowy, której synonimem i nosicielem stał się

o kolejach losu licznej rodziny, pozabawionej żywiciela w ciężkich czasach, gdy nie było żadnych ubezpieczeń społecznych.

Pani Ludmiła przyznaje, że była pupilką ojca, ponieważ dobrze uczyła się i pisała. Po śmierci ojca musiała przerwać naukę i szukać pracy. Rodzina rozeszła się w różne strony. Starsze dzieci poszły do pracy, młodsze pojechały z matką do Orchard Lake, potem do Cambridge Springs, gdzie matka pracowała jako "matron."

Pytam, dlaczego matka miała na imię Emma? Dotąd nie spotkałem tego imienia w środowiskach polskich. — To śmieszna historyjka, odpowiada Pani Ludmiła. Babka odbyła podróż przez ocean, będąc w ciąży. W drodze z Nowego Yorku do Milwaukee dostała bóle porodowych. Wobec tego dziadkowie wysiedli w jakimś małym miasteczku w Pensylwanii, gdzie urodziła się im córka. Ponieważ nie było księdza katolickiego, ochrzcił ją pastor protestancki i dał imię Emma. Po przyjeździe do Milwaukee dziadkowie dowiedzieli się, że chrzest jest nieważny i muszą iść do księdza katolickiego. Ten dał matce imię Kunegunda, którego nikt nie lubił, a wszyscy przyzwyczaili się już do imienia Emma i tak została Emmą, choć w metryce miała imię Kunegunda.

Pani Ludmiła wyszła za mąż za Williama Memel z którym miała dwoje dzieci: syna Williama i córkę June (po mężu Kopke, która mieszka w Chicago). Po śmierci pierwszego męża wyszła za mąż za Cummingsa (również już nie żyje).

Uwagę naszą zwróciła szarfą z napisem "Welcome Home President." — Szarfą i kwiaty czekały na mnie (na powitanie), gdy wróciłam ze szpitala, mówi z uśmiechem Pani Ludmiła. Jestem prezeską Klubu Pań (mieszkanek Domu).

Na pożegnanie, proszę o dobre zdjęcie jej ojca. Ma ich kilka, jedno było kiedyś bardzo wyraźne, ale obecnie jest już ciemne.

— "Zaczalowane," wyjaśnia Pani Ludmiła. Nie usnę, by nie pocałować zdjęcia ojca i pomodlić się o spójność jego duszy.

Wrzuszające wyznanie. Szczęśliwi ojcowie, którzy mają takie córki.  
Jan Krawiec

ruch "Solidarności", czeka misja szczególnie trudna, a więc tym bardziej potrzebna. Odwiedzi kraj pod niektórymi względami inny niż podczas swej pierwszej podróży. "Dopiero w niedoli człowiek uświadamia sobie, kim jest naprawdę" — pisał Rousseau. Dotyczy to również narodów.

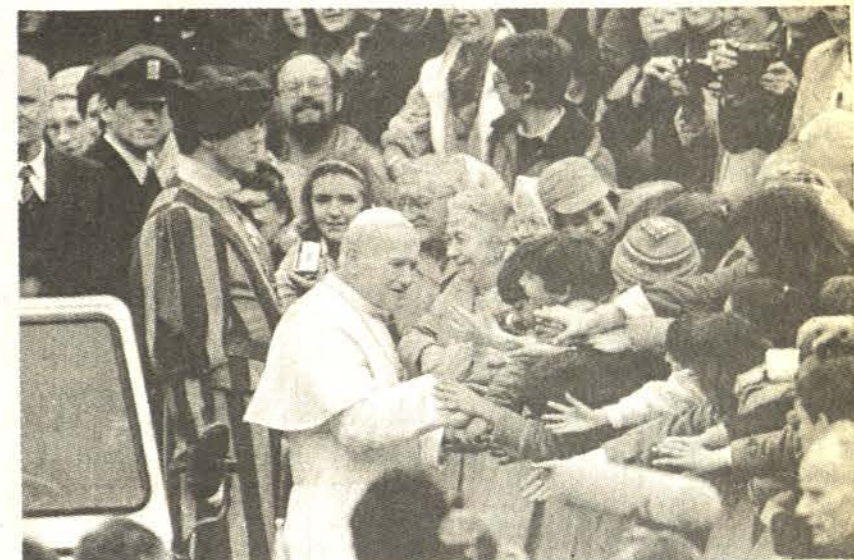
Student z Wrocławia pokazuje nam list, jaki chce wręczyć papieżowi. Jest to skarga na zomowca, który pobił mu matkę, gdy wychodziła z kościoła.

— Mógł ją uderzyć pałąk raz albo dwa — drzy mu podbródek — ale on ją uderzył kilkanaście razy. Dlaczego? Czy mam zacytować słowa oświeceniowego kazania papieża: "Wystarczy człowieka ubrać w mundur...?"

Przypominają mi się słowa swiego jezuitę w Salwadorze:

— Wulkany wybuchają, ziemia się trzęsie, morza pochłaniają lądy, szarżacja pustoszy pola, ale największym niebezpieczeństwem dla człowieka jest drugi człowiek, i z tym należałoby wreszcie coś zrobić.

Coś konkretnego zrobić i choć minimalnie naprawić ten świat chce młody Niemiec Ruediger Nehberg, z klubu "Ratujmy zagrożone plemina".



MIASTO WATYKAŃSKIE. — Papież Jan Paweł II w otoczeniu Gwardii Szwajcarskiej, w czasie jednej ze swych tradycyjnych audiencji generalnych, odbywających się co środę na Placu Św. Piotra. (UPI)

Przybył na plac św. Piota pieszo z Grainau pod Garmisch. Oparty o potężny plecak, stoi pod fontanną, z dziewczęciami różami w ręku. Chce je wręczyć papieżowi.

— Przeczytałem w prasie, że w Brazylii pozostało przy życiu 9,000 Yanomami-Indian. Poproszę Ojca Św., by wstawił się za zagrożonymi.

— Los Koptów nie tylko w Abisynii, ale i w Egipcie jest okrutny! — mówi Francuz który niedawno wrócił z Kairu — ktoś powinien się nimi zająć.

Pokażna jest ta księga zażaleń, niebosiedza ta ściana placu. I wszyscy adresują swe petycje do Jana Pawła II.

Istotnie, technicznemu postępowi świata nie towarzyszy postęp moralny. Złoty wiek ludzkości, sen pokoleń, każe na siebie czekać. Przemoc nie truchleje. Bratobójstwo (a czym innym jest w gruncie rzeczy łamanie praw ludzkich?) trwa. Człowiek nadal godzi w bliźniego ogniem, mieczem, pałąk, sądowym paragragem. Skąd tyle zaciętości w prześladowcach? Czy rodzi się ona z poczucia bezsilności? Oni wiedzą, kto w końcu odnosi zwycięstwo: ich ofiara. Oni mogą jedynie unicestwić fizycznie. Kto zna dzisiaj nazwiska sędziów, którzy skazali Sokratesa? Któż nie wie, kim był Sokrates i za co zginął? "Więźnia można tylko zabić" — powiedział ojciec Kolbe w oświęcimskim baraku.

Przyjaciel już z daleka powiewa gazetą.

— Niebysław! — cieszy się polski rzymianin — "L'Osservatore Romano", organ papieża, wydrukował apel Garibaldiego z 22 lutego 1863 r.: "Nie opuszczajcie Polaków w nieszczęściu!", apel wojującego antyklerykała, który przez długie lata był czerwoną plachtą dla Watykanu, który ośmielił się kiedyś swego osła nazwać "Pio IX"! Widocznie treść tego manifestu solidarności z narodem polskim ważniejsza jest od osoby autora. Sprawa wolności ważniejsza jest od dawnych uprzedzeń.

— Il Papa! Il papa! — wybuch radość w tłumie. Wiwaty, oklaski. Już się papież ukazuje w oknie. Już kreśli znak krzyża w powietrzu. Zaraz zabierze głos. Pielgrzymi z Polski klękają. A dziatwa włoska, powiewająca żółtymi chorągiewkami, podnosi wrzask radości, od którego gołębie gubią piórka nad egipskim obeliskiem.

Jaki to balsam dla oka: te setki uradowanych dzieci! "Z głębi ciemności" — zwierzał się Nietzsche — "wydobywa mnie czasem uśmiech dziecka". "Całą moją nadzieję" — rzekł Bernanos przed śmiercią — "ślądam w ręce francuskich dzieci", a wyspiński życzył sobie: "I niech się jedno z nich zaśmieje".

Dzieci szlachnie ubrane. Dzieci zdrowe. Dzieci wesołe. Dzieci nie płaczące z głodu. Dzieci nie przymuszone do niewolniczej pracy. Dzieci, które są dziećmi. Ten widok leczy i uśmierza, ilekroć pamięć siłą kontrastu zupełnie inne obrazy podsuwa z krajów Trzeciego Świata, z Czarnego Lądu, z Ameryki Środkowej.

Jeszcze nie tak dawno, bo przed paru tygodniami, otaczał nas krąg cierpienia i nienawiści. Zetknęliśmy się z zakątkiem w którym dzieciom nie pozwala się być dziećmi. W Managuai, fanatyzmem i demagogią nawiedzonej, już w godzinę po wyładowaniu przypomniła mi się ta moskiewska grafomanka, która za Stalina zagalopowała się na Pegazie, pisząc z okazji "Dnia Matek", że człowiek radziecki buduje socjalizm już w tonie matki. (Techniczny szczegółów tego zajęcia nie wyjaśniła). Coś z tego optymizmu przejął "praeceptor

Nicaraguae" w randze ministra, tak ochoczo i beznamiętnie upolityczniający przedszkola i żłobki dla niemowląt. Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał Hydrze... Nie przepuszczono więc i tym pałkonogim, rachitycznym żyjątkom o brzuchach wzdętych od głodu.

Przedskolne pyszni się barwną palisadą, którą zdobiją wycięci z dyktu wodzowie rewolucji. Te olbrzymie lalki a właściwie karnawałowe maskary, których nienawistny grymas ma zapas w głąb dziecięcej duszy i odpowiednio zakielkować, wypatrują wroga przez lornetkę, rzucając butelkami w amerykańskie czolgi. Ulepiony z gliny, wyższy niż totem na majdanie, robotnik o zagniewanej twarzy rozdeptuje Wuję Sama. Insekty z siwą brodką, z wywalonym językiem, spadł cylinder ze znakiem dolara. Maluchy nie bawią się w piaskownicy — to dobre dla burżuazyjnych pedraków. Pną się natomiast z plastikowymi pistoletami na zestrzelony przed laty samolot Somozy. Wrak, na którego okopanej burcie wymalowano białą farbą antyamerykańskie hasła, wychowawcy zamienili w dużą i pożyteczną zabawkę. Podobne trofeum zdobit cmentarz poległych kompaneros w Ciudad Sandino. Widnieje tam zresztą napis na wskrosz niechrześcijański: "Jedna śmierć dla kontrrewolucjonisty, to za mało!"

Chwila ciszy na Piotrowym Placu, przerywanej trzepotem gołębich skrzydeł i pluskiem fontanny: Papież udziela błogosławieństwa pielgrzymom. Ale już po minucie — na nowo wzbija się pod niebo wrzask włoskiej dzieciarni. Bambinieria cieszy się, że i papa ją dostrzegł i długo pozdrawia ręką w powietrzu.

Już niedługo. Zwiastun Dobrej Nowiny udaje się w nową podróż. Odwiedzi ojczyznę ludzi chwilowo ubezwłasnowolnionych, ale nie pokonanych. I tam witać go będą dzieci. Nie tak rozbawione jak te włoskie, zapewne bardziej przejęte, wiedzące dlaczego ich rodzice płaczą nieraz w kościele. Myślę, że i po to ta trudna, samarytańska wyprawa, by na naszej ziemi dzieci były dziećmi, wyrastały na ludzi bez strachu, biedy, krzywdy i nienawiści. Od nich bowiem ta inna Polska zależy.